GŁOS

TYGODNIK POLSKIEJ MYŚLI NARODOWEJ

Rok VI — Nr. 21/22 | Poznań, dnia 5 lipca 1936 | Cena 20 gr

St. Czapiewski, Poznań

Dokąd iść?

Nurt życia społecznego i politycznego w całym świecie nigdy nie był tak wartki, tak burzliwy i pełen wirów, jak dziś. Patrzącemu na powierzchnię naszego współczesnego życia trudno się zorjentować, dokąd płyną wzburzone fale wydarzeń i jakie losy gotują tym, których z sobą porywają. To pewne, że życie dzisiejsze nie zna już spokoju, a wraz z tem nie zna także zastoju.

Żyjemy — jak się zdaje — w okresie ciągłych zmian, w okresie walk i przewrotów. Pokój po wielkiej wojnie przyniósł Europie zarodki nowych niepokojów i nowych walk, nowych przemian. Rezultaty wielkiej wojny zamknęły się wprawdzie na kartach traktatu pokojowego w Wersalu, ale konsekwencje sięgnęły głębiej i dalej, niżby się to mogło napozór wydawać.

To, co dziś dzieje się w łonie poszczególnych krajów i społeczeństw, każe przypuszczać, że przeżywamy okres niezwykłej dla przyszłych losów doniosłości, że walki dzisiejsze toczą się o nowe granice, już nie międzypaństwowe granice tylko, ale granice zasięgu nowych idei, nowych wartości, granice nowych, wyraźnie zarysowanych i skrystalizowanych cywilizacyj.

W kłębowisku wydarzeń mało jest jakoś ludzkiej orjentacji. A potrzebna jest ona zwłaszcza tym narodom, które nie chcą być starte w proch przez koła młyńskie współczesnych dziejów. Idą czasy groźne dla narodów biernych i niewiedzących, poco i jak żyć, jakim celom służyć, dokąd iść. Orjentacja ta, niezbędna dziś w chaosie dążeń i prądów, w zagmatwaniu stosunków, zrodzić się może nie tyle z rozeznania się w dzisiejszej rzeczywistości, jakkolwiek trud w tym kierunku podjęty jest konieczny i nieodzowny, ile z określonej woli życia, ze świadomego wykrystalizowania swojej osobowości zbiorowej, jako podmiotu dziejowego, ze świadomości wielkich celów, dla których urzeczywistniania zaprzęga się energję społeczną narodu, ujętą w karby świadomych dążności i jasnych dróg.

Naród, który zdobył świadomość swego przeznaczenia i wiarę w siebie, w sens swojego istnienia i swojego posłannictwa, zdobył trwały fundament dla swojej dalszej historji, zdobył najpewniejszy grunt dla swojego bytu i długowiecznego trwania i rozwoju. To jest pewnik. Kto z tą prawdą się nie liczy, kto o niej nie pamięta, lub pamiętać nie chce, albo — co gorzej — kto tej prawdy nie zna, i nie czyni żadnych starań, by tę prawdę poznać i dla życia swego narodu zdobyć, ten w walkach, które się dzisiaj toczą, gotuje sobie śmierć i zniszczenie.

Życie i losy narodów Europy dzisiejszej dostarczają wymownych ilustracyj dla potwierdzenia wielkiej siły żywotnej tej prawdy i wyjaśniają równocześnie, co jest istotną treścią tej prawdy. Prawdą tą jest idea narodowa. Dwa są narody w Europie, żyjące dziś w całej pełni w zgodzie ze wskazaniami tej idei. Są to Włochy i Niemcy. Nie trzeba przytaczać żadnych zresztą faktów, ile tej idei oba te narody zawdzięczają, jak wielką siłę wewnętrzną dzięki tej idei z siebie wykrzesały, czego dotychczas dokonały i do czego jeszcze są zdolne.

Jest jeszcze inny przykład: przykład Francji, rządzonej dziś przez Żyda Bluma, trawionej anarchją i bezładem, staczającej się ku przepaści. O ile reakcja przeciwko temu, co dziś tam się dzieje, nie zmoże pierwiastków rozkładu, o ile nie znajdzie się dość sił, zdolnych do przeciwstawienia się władcom czerwieniejącej Francji i obalenia obecnego układu politycznego, Francja jako państwo suwerenne może być pogrzebana.

Płyną wszakże z tych przykładów ważne wskazania dla innych narodów, ważne przedewszystkiem dla Polski, znajdującej się w szczególnem położeniu geopolitycznem w Europie.

Życie narodów kieruje się swojemi nieubłaganemi prawami. Nie zna ono sentymentów, uczuć altruizmu, czy nawet litości wobec słabszych. Panuje w niem ten, kto posiada moc i siłę, kto umie pracować i tworzyć na rachunek własnego rozwoju, kto umie organizować energję i dawać jej odpowiednie pola dla ekspansji, kto nadaje wszystkim swoim poczynaniom sens, płynący z potrzeb życia i rozwoju własnego narodu. Musi o tem pamiętać nasz naród, który już przeszedł bolesne dziejowe doświadczenie. Musi wreszcie stać się „mądry po szkodzie“.

Nasz byt, nasze trwanie, nasz rozwój i nasze znaczenie polityczne zależy od tego, czy, w jakim stopniu i jak szybko staniemy się w pełni nowoczesnym narodem, narodem silnym i zwartym, narodem politycznie zorganizowanym i zdyscyplinowanym, narodem jednolitym w swoich dążnościach, w swojej woli i w swoich czynach.

Dla tych, którzy czują się Polakami, których związek z narodem i jego losami istnieje i jest nierozerwalny, niema wyboru co do czynnej pozycji, jaką wobec własnego narodu i jego przyszłości trzeba zająć. Bierność jest zgubą dla narodów. Bierność wobec własnego jest zdradą.

Przyszłość Polski leży w idei narodowej. Jej rychłe zwycięstwo będzie początkiem nowej ery w dziejach Odrodzonej Polski. Naród odnajdzie bowiem w niej nietylko samego siebie, wiarę w siebie i swoje cele, ale odnajdzie także drogę swoich przeznaczeń. Nie będzie się błąkał pa mrocznych zaułkach z bezradnem pytaniem: dokąd iść? Będzie w i e d z i a ł, dokąd iść trzeba.

Aleksander Rogalski, Poznań

„W mrokach duszy“

Mamy mówić o człowieku, który taki zgiełk dokoła swego nazwiska wywołał, który zdruzgotał kunsztownie „zbudowane“ „przesądy“ i „zabobony“, który stał się prawdziwym Kolumbem, odkrywającym nieznany, niewiedzą omotany kraj, Amerykę duszy ludzkiej, którego imieniem niektórzy chcą nazwać naszą erę.

Cóż to zą człowiek? Jaka jego nauka?

Wizerunek człowieka poznamy w jego świeżej autobiografji. Okazuje się z niej, że całe osobiste życie Freuda wypełnione było bez reszty triumfami i niepowodzeniami psychoanalizy. Urodził się w r. 1856 w Freibergu na Morawach z rodziny żydowskiej. Studjował medycynę, specjalnie choroby nerwowe. W trzydziestym roku życia udaje się do Paryża, by słuchać wykładów głośnego chirurga francuskiego Charcota w Salpêtrière. Udał się również do Nancy, gdzie pod kierunkiem Bernheima pogłębił swą wiedzę w dziedzinie terapeutyki psychicznej. Z tych badań wyniósł przeświadczenie, że chociaż istotne motywy naszych postępków niezawsze są znane, to jednak pewne zabiegi pozwalają wydobywać je na światło świadomości.

Jednakże tym, który skierował Freuda ku psychoanalizie, był J. Breuer, z którym badał metodę katartyczną terapji w histerji.

Niebawem Freud się usamodzielnił. Pracuje w samotności. W r. 1900 wydaje najważniejszą pracę „Die Traumdeutung“ („Znaczenie marzeń sennych“). Dowodził w niej, że sen jest maską, zakrywającą utajoną treść duszy, że sen jest realizacją pragnień głębokich, których narazie nie można spełnić albo też nie wolno. Bo w świadomości działa zawsze cenzura, która nie dopuszcza do siebie niczego zakazanego i skazuje je na wieczne przebywanie w n i e ś w i a d o m o ś c i. Oto, jak Freud przedstawia obrazowo w jednym ze swoich wykładów w Clark Uniwersyty analogję, mogącą ułatwić zrozumienie pojęć oporu, wyparcia, cenzury i nieświadomości.

Do sali wykładowej dostał się osobnik hałaśliwy, który zaczyna przeszkadzać prelegentowi; na polecenie przewodniczącego zebrania słuchacze wstają, wypierają za drzwi intruza; nadto jeszcze podpierają drzwi krzesłami, ażeby zapobiec wszelkiej nowej próbie zaburzenia spokoju: Zamieńmy salę na świadomość, przedpokój na nieświadomość, a wydarzenie to nam da obraz wyparcia, oporu i cenzury. Na cenzurę składają się różne wyniki, jak: wskazania rodzicielskie i wymagania społeczne i religijne.

Otóż w śnie, tego w tym stopniu niema. Tam mogłyby sobie dowoli hulać i n t r u z y n i e ś w i a d o m o ś c i. Ale i tu nawet Freud przyjmuje istnienie cenzury, chociaż mocno osłabionej, która wpływa na to, że sny są właśnie zamaskowane, są kształtem kompromisu. Czynnikiem, który gra główną rolę w marzeniach sennych, jest l i b i d o. Nic dziwnego, wszak libido zajmuje w systemie freudowskim stopień najwyższy. Stąd pochodzi s y m b o l j k a snu. Sny się roją od symboli, które brane dosłownie, przedstawiają się bardzo niewinnie.

W istocie tak jednak nie jest. Jest to tylko wybieg, wykręt n i e ś w i a d o m e g o, które przed ś w i a d o m e m stroi się w szatki przyzwoitości. Psychoanalityk nie da się na to złapać. On doskonale wie, że skoro komuś śni się noga, którą usiłuje włożyć do trzewika, to znaczy to, że śniący pożąda stosunku płciowego z kobietą.

Stąd rozwiera się podatne pole dla badań psychoanalityczno-literackich. Dzieło z tej dziedziny napisał m. in. w Niemczech Rank, a u nas Gustaw Bychowski p. t.: „Słowacki i jego dusza“. Bo przecież sen i poezja, sen i sztuka są to dwie siostrzyce, tak przecież mówił już wielki Nietzsche. Tu i tam czysta twórczość, eruptywna, impulsywna, instynktowa. Tu symbolika i tam symbolika. Tylko, że te badania do wszystkiego doprowadzają, tylko nie do zrozumienia sztuki. Bo cóż to mi tłumaczy, gdy mi udowodnią, że przyczyną dajmy na to powstania „Dziadów“ części czwartej była dążność u Mickiewicza do uzyskania rekompensaty za jego niedoszłe zbliżenie się cielesne z Marylą? Bo dlaczego właśnie powstały „Dziady“, dlaczego właśnie w takiej formie? Tutaj zostanę ignorantem kompletnym. To też można powiedzieć, że gdyby metoda psychoanalityczna rozkrzewiła się na dobre w badaniach literackich, byłoby to zabójstwem literatury, w którejby ludzie nie znajdowali nic, prócz mniej lub więcej zręcznej przejrzystej symbolizacji genitalij męskich i żeńskich i fizjologji seksualnej.

Byliby wszyscy bardzo mądrzy i wnikliwi, bo wystarczyłoby nauczyć się tylko łatwiutkiego alfabetu freudowskiego i podstawiać go niby szyfr, gdzie należy — a już by się miało zdobytą całą wiedzę o duszy, człowieku, kulturze.

Tezą, która wywołała najwyższe gromy na głowę Freuda, była teza o seksualiźmie dziecięcym. Czytamy w pewnym wykładzie Freuda: „Dziecko, przychodząc na świat, przynosi z sobą te dążności seksualne i z tych pierwszych zadatków wyłania się w pełnej zmiennych kolei ewolucji o licznych etapach normalna seksualność dorosłego człowieka“. Oburzenie było powszechne. Co? pytano się wszędzie, — nasze aniołki miałyby być tak brudne i grzeszne? Ale Freud odpowiedział, że przecież prawdziwe aniołki nie spełniają czynności niekoniecznie czyste i piękne (fizjologiczne), jak nasze dzieci. Dlaczegóż więc nie przyjąć do serji tych nową: że i one mają pożądania płciowe, które na swój sposób zaspakajają?

Tak np. matka karmi niemowlę swą piersią. Ani przez myśl jej nie przejdzie, że niemowlę w tej chwili nietylko zaspakaja swój głód, ale również swoje l i b i d o; ssanie, łaskotanie brodawki matczynej ma dla niego taką przyjemność, jak dla starszych normalny stosunek płciowy. Osiąga ją zapomocą t. zw. stref erotycznych: bukalnej (ust), analnej (odbytnicy), genitalnej. Dziecko jest aniołkiem, jak ktoś ma zwyczaj używać śmiałych słów, ale, kto dobrze obserwuje, wie, że ono jest również niezgorszem zwierzątkiem. Zwierzątkiem, które nie gardzi ani masturbacją, ani koprolalją, ani fetyszyzmem, ani ekshibicjonizmem itp.

Jakby tam nie było w tem rozumowaniu Freuda ukryła się słuszność. I chociaż później nauka nie przyjęła jego doktryny o seksualizmie infantylnym w pierwotnem sformułowaniu Freuda, zarzucając mu że do psychologji dziecka stosował kategorję psychologji ludzi dojrzałych, Freud ma tę zasługę, że wprowadził więcej realizmu w tę dziedzinę, w której zabobon walczył o lepsze z sielanką. Dużo zaś może psychoanaliza zrobić, jeżeli chodzi o psychopatalogję dzieci, gdzie pewne wyobrażenie seksualne (seksualizm w tak rozcieńczonej formie, że właściwie nie jest wcale już seksualizmem — a to jest tylko koniec końców jedyny sposób przyjęcia „seksualizmu“ dziecka), pełnią niekiedy rolę dominującą.

Freud dowodził, że wszystkie zboczenia, które spotyka się później u dorosłych, tkwią już w dzieciństwie, tylko że tutaj nie są zboczeniem, lecz cechami naturalnemi. To stwierdzenie może być płodne w psychoterapji, w leczeniu nerwic. Niemałe znaczenie posiada tutaj t. zw. kompleks Edypa i jego odmiany, jak kompleks Elektry itd. Polega on na tem, że, jak mówi Freud, każdy syn kocha się w swej matce, i ojca uważa za swego rywala; każda córka kocha się w swym ojcu i współzawodniczy z matką.

A teraz o s u b l i m a c j i. Przed nieświadomem, czy podświadomem, istnieje świadomość, która stwarza kulturę. Kultura powstaje przez uwznioślenie popędów i instynktów, które pukają natarczywie do wrót świadomości. Ta jednak nie może ich przyjąć do siebie w ich pierwotnej postaci, bo toby zagrażało jej bezpieczeństwu, przeto przekształca je ona na wartości wyższego rzędu, które nietylko nie są dla niej szkodliwe, lecz nadto ją umacniają i rozwijają. Tak powstaje religja, sztuka, technika, nauka.

Otóż cała ta metapsychologja Freuda, jego filozofja kultury — zasługuje na największe potępienie. Nie ma ona przedewszystkiem podstaw naukowych. Po co bowiem tworzyć kulturę, skoro ona jest źródłem newroz, chorób psychicznych, skoro ona krępuje, w więzach trzyma fundamentalną siłę człowieka — podświadomość? Świadomość tu gra rolę szkodliwą i mimo wszystko wtórną — okiełznywania instynktów. Czy nie lepiej wrócić do „pierwotności“, do „normalności“ i „naturalności“, do „szczęśliwości“, — do praw i dzieła podświadomości? Przecież to jest całkiem logiczny wniosek, jaki wysuwa się z nauki Freuda. A jednak sam Freud swej nauce zaprzecza — swem życiem, które jest podobno nienaganne. A to jest przecież duża niekonsekwencja . . .

(Ciąg dalszy na str. 4-ej.)

Ludwik Jaxa Bykowski, Poznań

Istota wychowania narodowego

Swoistość wychowania narodowego ujawnia się znacznie szerzej i sięga głębiej, niż sądzą profani, lub ludzie, którzy nie doceniają ważności idei narodowej w współczesnem życiu. O jego charakterze decydują trzy zasadnicze względy: jeden to ogólne cele i ideały, do których naród dąży w danym okresie jako całość, — drugi to trwałe właściwości danego narodu i składających go typów tak fizyczne, jak psychiczne. Nie obojętną musi być też realna rzeczywistość, warunki życia i narodu w danej chwili, lekceważenie ich bowiem nietylko może spowodować fantastyczność ideałów nieziszczalnych, ale pociągnąć szereg konfliktów, a nawet katastrof. To trzeci czynnik wyciskający swe piętno na charakterze wychowania narodowego.

Wszystkie te czynniki zadecydują o wyborze właściwych środków i zabiegów wychowawczych, które wobec tego też nie mogą być wszędzie jednakie, lecz przeciwnie domagają się bogatej rozmaitości. Czynnik pierwszy, mianowicie ustalony cel i ideał wychowawczy decyduje o p r o g r a m i e wychowania. Musi się on liczyć tak z postulatami wyrobienia formalnego, ustalić cechy i właściwości, jakie chcemy widzieć w wychowankach, jak też i właściwy zakres wiadomości. Obok pewnych cech pożądanych dla wszystkich, cennych w każdem społeczeństwie, pewne właściwości wysuwają się na stanowisko naczelne i wten sposób tworzy się swoisty ideał narodowy. Tu znów zależnie od przeróżnych czynników różnice mogą być większe lub mniejsze, ideały poszczególnych narodów mogą być pokrewne, albo wyraźnie przeciwne. Jak to już Z. Balicki zauważył, ideał ten innym jest i być musi w neutralnej Szwajcarji, będącej właściwie wielkim, zbiorowym hotelem, innym w kolonizującej świat cały Anglji, inny w położonych na uboczu krajach Skandynawskich, inny u nas. Każdy z nich musi się starać o wyrobienie swoistych cech, istotnych dla określonego typu. Cechy te u typów odległych nierzadko są nie tylko przeciwne, lecz wprost sprzeczne, co jest zaletą w jednym, będzie wadą w drugim. Zestawmy nasze hasło „za wolność naszą i waszą“ z imperjalistycznemi i zaborczemi tendencjami innych mocarstw, gdzie zresztą też zaznaczą się wyraźne różnice. Wszak innym był religijny zdobywczy pochód Turków, inną zaborczość pruska, innym jest handlowo - kolonjalny imperjalizm Anglji, inną polityczna ekspansja Japonji. Każdy z nich ma inne cele, innych pragnie ideałów, odmiennych potrzebuje cech do ich realizacji.

Jeśli chodzi o w y k s z t a ł c e n i e m a t e r j a l n e, a więc odpowiedni zasób wiedzy, to i tu zaznaczą się swoiste różnice narodowe. Jasno i bez zastrzeżeń przedstawi się ta sprawa w dziedzinie szkolenia zawodowego w tych działach, które są związane z przyrodą kraju. Jasna rzecz, że innych potrzebuje wiadomości rolnik, ogrodnik, leśnik czy hodowca u nas niż w Anglji, Francji, a tem bardziej w krajach podzwrotnikowych. Nawet sąsiadująca Czechosłowacja, lub niezbyt odległa Danja, mimo całej wartości ich systemów nie mogą być dla nas wzorem dla niewolniczego naśladowania, nasze bowiem stosunki już choćby z powodu różnic klimatycznych wymagają odmiennego traktowania. To samo dotyczeć będzie szkół górniczych, ale w pewnym stopniu winny się liczyć z tem także szkoły przemysłowe, opierając się na krajowych surowcach w miarę możności. Podobnież program szkół handlowych musi być dostosowany do potrzeb miejscowych, a więc i tu zakres wiedzy nabiera rodzimego charakteru.

Również w dziedzinie sztuki, zdobnictwa, przemysłu artystycznego nikt nie będzie kwestionował potrzeby ważności pielęgnowania pierwiastków narodowych, nawet religijnych, których oryginalność i bogactwo pomnaża najwydatniej skarby kultury ogólno - ludzkiej. I tu więc, choć znowu z innych powodów o międzynarodowej niwelacji nie można mówić, a wszelkie stworzenie jednolitego szablonu byłoby duchowem zubożeniem tak poszczególnych narodów, jak całej ludzkości.

Ale także w zakresie wykształcenia ogólnego, więc w szkołach ogólno-kształcących, można mówić o wychowaniu narodowem, a jeśli wychowanie ma być rzeczywiście skuteczne, musi być właśnie jaknajbardziej narodowem. W naukach humanistycznych postulat ten jest tak jasny, że poważnie nikt go nie zaprzeczy. Najgorętsi zwolennicy języka międzynarodowego nie przeczą — przynajmniej dziś — potrzeby języka ojczystego, na którym budować można dalszą naukę, a tylko polityczne zaślepienie naszych zaborców nie tylko wykreślało jego naukę z programów, lecz nawet stosowało kary za jego użycie. Tak samo jasnem jest, że w nauce historji punktem wyjścia i ośrodkiem winny być dzieje ojczyste. Nie inaczej w geografji. Na stopniu elementarnym wiadomości te normalnie wypełniają niemal całkowicie program, ale i na stopniu średnim rzeczy ojczyste muszą dominować. Przecie dziś wszystkie cywilizowane narody, a tylko takie mogą myśleć o samodzielnych systemach wychowawczych i własnem szkolnictwie, mają literaturę tak bogatą, że konieczne jest już dokonywanie właściwego wyboru dla celów szkolnych, objęcie bowiem całości nawet na stopniu wyższym w całej rozciągłości nie jest możliwe. Tem bardziej, gdy chodzi o całą ludzkość. Zależnie od potrzeb poszczególnych narodów dokonywać się musi doboru języków obcych nauczanych w rozmaitych typach i na kolejnych stopniach szkół, z literatury zaś dokonać wyboru nawet pośród arcydzieł. Podobnież z dziejów ludzkości wybiera się momenty bądźto znaczenia światowego, bądźteż związane silniej z dziejami ojczystemi. Podobnie rzecz się ma w nauczaniu geografji.

Pozornie może się wydawać, że nauki matematyczno - przyrodnicze zachowują jednakowy wszędzie międzynarodowy charakter. W istocie tak nie jest. Przyrodoznawstwo cz. historja naturalna (zoologja, botanika, mineralogja, potrografja, geologja) są w swym materjale konkretnym nie mniej narodowe niż geografja lub historja, wszak znajomość całej fauny lub flory krajowej nawet nie wielkich państw nie jest możliwa nawet dla specjalistów, a bogactwo form chyba dostateczne, by przy drobnem tylko uzupełnieniu móc wyjaśnić i uzasadnić zasadnicze teorje naukowe. Nawet pośród form i formacyj krajowych musi się dokonać ścisłego doboru materjału naukowego, by uniknąć przeładowonia i powierzchowności. A to znów użyczy wychowawczej pracy charakterystycznego piętna narodowego. Najbardziej niezależne wydają się fizyka, chemja, a przedewszystkiem matematyka. Zapewne, jeśli chodzi o podstawowe zasady, jak i teoretyczne uogólniania, to te, jak we wszystkich naukach, mają znaczenie wszechludzkie. Ale one zwłaszcza w nauce szkolnej muszą być oparte o szczegółowe przykłady i zastosowania, wdrożone licznemi ćwiczeniami praktycznemi, a te powinny być brane z życia realnego. Błędne są tendencje niektórych naszych organizatorów szkolnictwa, którzy rozumiejąc matematykę jako naukę ścisłą, chcą ją już w szkole średniej w zupełności oderwać od życia. Nie tylko robią ją nauką bardziej papierową, niż gramatyka grecka, ale wprost niezrozumiałą. Nie można mówić o geometrji nieeuklidesowej, jeśli się nie zna geometrji elementarnej, traktować filozofji matematyki, gdy się nie zna algebry szkolnej a nawet rachunków, oceniać teorję względności bez opanowania mechaniki newtonowskiej. A jeśli te przykłady z życia są niezbędne, owszem na stopniu niższym i średnim stanowią zasadniczy trzon nauki, nateneczas znów winny być związane z naszem życiem rodzimem, opierać się na stosunkach realnych bezpośredniego otoczenia. Tak samo w logice prawa myślenia są jedne dla wszystkich i powszechne, ale znów dobierając przykłady winny się przedewszystkiem oprzeć na literaturze ojczystej. W psychologji pierwiastki nie tylko narodowe, ale nawet indywidualne zaznaczają się nader wyraźnie i mają swoje ważne znaczenie.

A więc nie tylko dobór przedmiotów i wybór materiału musi się liczyć z postulatami narodowemi, ale samo prowadzenie nauki powinno być swoiste realizując te postulaty w szczegółach. Oczywiście wyraźny charakter narodowy winna mieć cała organizacja szkolnictwa. Musi być dostosowana do właściwości i potrzeb narodu. Jakość szkół, ilość, rozmieszczenie, winny odpowiadać potrzebom społeczeństwa, które przecie w rozmaitych krajach niekiedy sąsiadujących są różne. Najpiękniejsze wzory zagraniczne mogą okazać się bezwartościowe gdzieindziej.

Ale charakter narodowy winien zaznaczyć się jeszcze w innym kierunku. Poszczególne narody różnią się, jak wiadomo, mniej lub więcej tak pod względem fizycznym, jak psychicznym. Jak w chemji te same pierwiastki łącząc się w rozmaitych stosunkach mogą dawać połączenia o zupełnie różnych właściwościach, tak tu te same zasadnicze składniki antropologiczne rozmaicie skombinowane dają typy swoiste, odmienne. Otóż pedagogika narodowa musi przedewszystkiem poznać te wszystkie właściwości, które zresztą nie u wszystkich są jednakie, — określić je, ocenić zalety i wady, a z kolei dostosować do tych właściwości system i szczegółowe metody prowadzenia i nauczania. Już S. Szczepanowski podkreślał konieczność uwzględniania wrodzonych cech narodowych w każdej pracy wychowawczej, zwracał uwagę na przeciwieństwo narodów czynnych i biernych, umysły analityczne i syntetyczne, zwracając uwagę na treść lub formę i w nich widzące istotę rzeczy. Różnic tych jest oczywiście więcej a każda z nich wymaga odmiennego traktowania

Co więcej. Każdy wielki naród nie jest jednolity Nie tylko zaznaczają się różnice zawodowe, ale liczyć się trzeba z różnicowaniem rasowem i dzielnicowem. Wszystko to wymaga uwzględnienia i odpowiedniego traktowania w wychowaniu tak, by przez nie umacniać całość, nie zacierając jednak cennych swoistości, lecz umiejętnie je harmonizując.

Jeszcze jedno. Pedagogja zajmuje się przedewszystkiem młodzieżą, ta zaś nie jest wiernem odbiciem starszego społeczeństwa, lecz wykazuje pewne swoistości i odrębności. Niektóre z nich z wiekiem ulegną zmianie, inne się utrzymają. Pokolenia acz wolno i nieznacznie, ale ulegają zmianie, bo naród jest przecie tworem żywym. Pedagogika narodowa winna i o tem pamiętać, by formować przyszłość w myśl określonej idei. Ideał mają realizować nie tyle urabiające się dzieci, nad któremi pracuje wychowawca, jak wychowani przezeń dojrzali obywatele.

A wreszcie liczyć się z realnemi stosunkami i możnością realizacji. Najpiękniejsze plany pozostaną bez wartości, owszem mogą stać się szkodliwe, jeśli ich realizacja okaże się niemożliwą. Pod tym względem niestety mieliśmy i mamy niejeden grzech na sumieniu. Należy trzeźwo oceniać rzeczywistość, wystrzegać się planów fantazyjnych.

Jak tedy widzimy, wychowanie narodowe ma nie tylko rację bytu, ale i szeroki zakres, oraz bogatą treść, znacznie większą, niż „powiększenie ilości lekcyj języka ojczystego“, jak wyraził się z przekąsem jeden z krytyków wychowania narodowego Lekceważenie tego hasła dowodzi albo zupełnej nieznajomości jego istoty, albo... rozmyślnej lub nakazanej złej woli.

Oczywiście pełnej treści i życia nabiera ono, gdy od ogólnych zasad przejdzie się do rzeczywistej jego budowy, a przynajmniej realnych planów jej w poszczególnym narodzie, w określonych warunkach czasu i miejsca.

M. S.

Spowiedź rewolucji

Odziejcie ducha w odświętne ubrania
Natnijcie serca w prasłowiańskie znaki
Niech krew plemienna pobudką wydzwania
W pustyni miejskiej — w swój rytm — wciąż jednaki.

I pójdźmy potem w narodu komunie
Porwani wichrem swego ideału
W krzesanych wolą snopów iskier łunie
Do swego Boga — do konfesjonału.

W słońcu, niech ruszy procesyj rzekami
Lud z sztandarami co w błękit wystrzelą
A pieśń narodu szeptana wargami
Niepokalaną niech opada bielą.

Oczyście domy! Przystrójcie ulice!
Niech się rozkwiecą w triumfalne bramy
Niech się rozjarzą obrzędowe świece
Bo dziś z swych czynów tu sprawę składamy.

Niech oniemieją narody z zdumienia
Nad wszechsłowiańskim aktem absolucji
Kiedy czynimy rachunek sumienia
Płomiennym hymnem — naszej rewolucji.

Bogdan Zakrzewski, Poznań

Wieczorne zawołanie

Cichy dom — szum piór gołębich...
W topolach gotyk myśli zestrzelonej.
Cichy dom i malw schylone grzędy
Przywarły liściem, od słońca czerwone.
Czekam zawołań rozbitych echem.
Wrócą z pól płaskich starą piosenką,
Z dawnym — na ustach dziecka — uśmiechem,
Motylem spłyną do oczu miękko....
Wrócą, bo ich nie skryje trzcina ostra,
Nie przetnie czajek pisk strwożony.

Zawsze po smukłych malwach poznam,
Wieczornych nawoływań zatopione dzwony..
Zostań przy ścianach słońcem rozpalonych!
Topoli szum — to wiatru kołysanie...
To sączy mrok. Codziennie biją dzwony,
Codziennie tej zadumy pożegnanie.
Cichy dom i malw uśpione róże.
Wieczór przyklęka do korzeni cieniem.
Ty nie myśl o mnie, nie wołaj dłużej.
Do warg przywiera smutek i zwątpienie.

Karol Hubert Rostworowski, Kraków

Przeprowadzka

Sztuka w 4 aktach

16

CIEPIEL (waląc się na fotel i przez poręcze fotelu opuszczając obie ręce ku ziemi coraz słabiej)
Dosyć!! Dosyć! Dosyć...

CIEPIELOWA (goniąc po scenie i becząc).
Taki wstyd!! Takie widowisko!! Taka kompromitacja!! Taki szkandal!! Buuu!! Buuu!!! Buuu!!!

FELEK (odświętnie ubrany, wpadając przez prawe drzwi)
Rany Boskie! Co się dzieje!

CIEPIEL (resztą sił, skongestjonowany, wymachując melonikiem)
Wyrzuć ją pan! Wyrzuć ją pan!

FELEK (już po pierwszem wezwaniu — technicznie) Dobra! (Błyskawicznie obejmując Ciepielową lewem ramieniem wpół i przyciskając ją tak do swego boku ażeby obie jej ręce unieruchomić — prawą zaś dłonią zatykając jej usta — zachęcająco) Chodźże pani. Chodźże pani.

CIEPIELOWA (która z początku wydawała ze siebie bardzo prymitywne piski — teraz bełkoce coś pod dłonią Felka).

FELEK (po dobrotliwem wyrzuceniu Ciepielowej przez prawe drzwi, zamyka je na klucz).

CIEPIEL (w czasie operacji jękliwie)
Słabo mi...

CIEPIELOWA (bijąc pięściami w drzwi)
Otwierać! Otwierać! Otwierać! (milknie).

CIEPIEL (wachlując się melonikiem)
Słabo mi... (upuszcza melonik na podłogę)

FELEK (który odwrócił się w stronę obecnych i ze zdumieniem patrzył to na nieruchomego Franka to na Ciepiela — po chwili)
Panie majster! Franuś Już można po ludzku. Już zrobione.

FRANEK (ani nie drgnął. Wciąż z łokciami na kolanach i z głową w dłoniach wygląda jak żywa katastrofa).

CIEPIEL (jakby resztą sił)
Weź pan sobie krzesełko... i siądź pan przy mnie... bo mi ciągle słabo...

FELEK (wypełniając polecenie Ciepiela, troskliwie)
Szlag pana trafił, panie majster?

CIEPIEL
Nie. Nie. Szlag mię nie trafił... tylko... (wskazując na Franka a potem na prawe drzwi) on z nią... panie dobrodzijku, tego... ale to nic...

FELEK (który szybko spojrzał na Franka)
No przecie, że nic.

CIEPIEL
...a ona... słyszał pan?... ściany, że tak powiem,... pękały...

FELEK
No przecie, że pękały.

CIEPIEL
...i dopiero że to, że owo... Chociaż, po prawdzie, panie dobrodzijku, to ja powinienem był... tego...

FELEK
No przecie, że pan majster.

CIEPIEL
Kiedy jakoś nie bardzo mi się zebrało, bo... (ciężko wstając, biorąc Felka pod ramię, opierając się na nim i prowadząc go w stronę rampy) uważasz pan... chłopak młody... gorący... tylko, że tak powiem, pokusa... no i jakże.

FELEK
A gadałem mu, psiakrew!

FRANEK (który dotąd nie zmienił pozy — podnosi głowę — tragicznym, błędnym wzrokiem bada, czy Ciepiel i Felek go nie zauważą — widząc, że są zwróceni do niego plecami i zajęci rozmową ostrożnie wstaje — skrada się na palcach wzdłuż szaf — wreszcie, doszedłszy do wejścia, szybko znika w sypialni).

CIEPIEL (bezpośrednio po słowach Felka)
Co mu pan gadał.

FELEK
A no żeby... żeby... bo to niby te.

CIEPIEL
Ale ona, panie dobrodzijku! Ona!

FELEK
E... jeden raz...

CIEPIEL
Co co co pan mówi?

FELEK
Tak mi się tylko... wyrwało.

CIEPIEL
Bo dotąd za wzór matrony, panie dobrodzijku! Za wzór matrony!

FELEK
Ha no jak tak, to... to dobrze będzie.

CIEPIEL
Co... co pan mówi?

FELEK
Że dobrze będzie.

CIEPIEL
Co co co dobrze będzie.

FELEK
A no takie te.

W służbie Polski i Słowiańszczyzny

„Głos" jest jednem z tych narodowych pism ideowych, któremu w wyjątkowo ciężkich warunkach wypadło realizować postawione sobie zadania. Zadania te skrystalizowały się ostatecznie w dwóch zasadach i postulatach: Wielkość Polski i Słowiańszczyzny. Pierwszy jest zrozumiały i bliski, drugi dla wielu jest utopją.

A jednak z tego drugiego nie można zrezygnować, jeśli się sięga dalej w przyszłość ponad aktualne spory i dysonanse istniejące w całej Słowiańszczyźnie, jeśli się pragnie stworzyć słowiański okres w dziejach cywilizacji europejskiej i polityce.

Każdy przyznać musi, że pełna realizacja tych postulatów przerasta niemal możliwości jednego pokolenia. Ale obecne młode pokolenie ma ambicję przypadającą na nią część zadań spełnić bezwzględnie.

Co w tym zakresie zrobiono? Dziś nie czas jeszcze na bilanse. W każdym jednak razie w miarę naszych sił pierwsi staraliśmy się sygnalizować niebezpieczną dla całej Słowiańszczyzny mobilizację bloku germańskiego w publikowanej i wydanej książce doc. Karola Stojanowskiego p. t. „Rasizm przeciw Słowiańszczyźnie". Wślad za tem memento poszły próby poszukiwania podstaw pod budowę ściślejszej, kulturalnej, cywilizacyjnej i politycznej wspólnoty słowiańskiej.

Jednym z refleksów tych prób był zamieszczony w ostatnim numerze „Głosu" artykuł kol. Jana Bielatowicza p. t. „O politykę słowiańską", w którym autor między innemi dał pełen wyraz tej wielkiej i coraz powszechniejszej tęsknocie młodego pokolenia do pozytywnej i samodzielnej mobilizacji Słowiańszczyzny, która ciągle wlecze się w ogonku innych narodów i państw. Artykul ten wzbudził duże zainteresowanie, co jest dowodem wielkiej aktualności poruszonego zagadnienia, które — rzecz jasna — wyczerpane być w jednym artykule nie mogło. W związku z tem traktujemy go jako zagajenie do obszerniejszej dyskusji, która winna się rozwinąć. Już dziś sygnalizujemy możliwość udziału w dyskusji nietylko Polaków, ale reprezentantów innych narodów słowiańskich.

Zatem otwieramy dyskusję ze świadomością, — że choć droga trudna i daleka, ale podjąć ten marsz należy, bo w nim tkwi część tego, co stanowić będzie o wielkości Polski.

Pierwszy zabiera głos kol. M. Konstantinow w imieniu młodej Bułgarji.

Bułgarja a polityka słowiańska

Pozwalam sobie poczynić kilka uwag na marginesie artykułu kol. J. Bielatowicza, umieszczonego w „Głosie" p. t. „O politykę słowiańską". Autor tego artykułu daje ogólny rys politycznych nastrojów wśród słowiańskich państw na Bałkanach, nastrojów dotyczących idei organizacji ogólno-słowiańskiego bloku.

Nie będę się zastanawiał tu nad genezą wszechsłowiańskiej idei, nie będę także wszczynał dyskusji nad poszczególnemi fazami rozwoju lub zaniku tej idei, ale zatrzymam się specjalnie nad obserwacjami, którym autor dał wyraz w odniesieniu do współczesnej Bułgarji. Kol. Bielatowicz twierdzi, że dziś Bałkany, to licytacja obcych agentur, że zastraszająco szerzy się tam wpływ Niemców-hitleryzmu, a ponadto cytuje zdanie rzekomo przeciętnego Bułgara, iż „My mamy wspólny los z Niemcami". Przypuszczam, że sam autor artykułu nie wierzy w całkowitą prawdziwość ostatniej tezy, postawionej zbyt ogólnie, a przytem zgeneralizowanej na całość nastrojów politycznych w Bułgarji. Chcąc być bliskim prawdy należy rozróżniać normalny rozwój ideowo-polityczny danego narodu od historycznych nadzwyczajnych wypadków, które zdarzają się w pewnym momencie i o których decyduje instynkt samozachowawczy narodu, będący w danym wypadku groźnym bodźcem jego politycznych poczynań.

Gdy sięgniemy 20 lat wstecz do historji politycznej Bułgarji, wtedy zobaczymy przyczyny, które złożyły się na fakt stanięcia Bułgarji po stronie państw centralnych, a mianowicie niewątpliwie działały wówczas te przyczyny, które określiliśmy, jako podyktowane instynktem samozachowawczym. Bułgarja poprostu w wojnie światowej stanęła po tej stronie, przeciwko której zwrócone były państwa sąsiedzkie, do których mieliśmy słuszne pretensje w związku z wojną bałkańską (1913 r.). Działały więc tu zbyt jeszcze żywe emocje ledwie co zakończonej nieszczęśliwej wojny. Nie da się jednak zaprzeczyć, że działały tu także wpływy obcej dyplomacji, a przedewszystkiem Anglji, w której interesie było byśmy nie znaleźli się przypadkiem w jednym bloku z Rosją, co było niebezpieczne dla jej interesów na bliskim wschodzie. Wolała więc mieć nas po drugiej stronie barykady. Tu więc zgadzamy się z kol. Bielatowiczem.

W dalszym ciągu autor twierdzi, że problem bułgarsko-serbski da się rozwiązać przez unję tych państw. Jest to zagadnienie zbyt skomplikowane, żeby można było zamknąć je i rozwiązać jednym pociągnięciem. Oczywiście rozumiem, że autor w sposób najprostszy starał się wskazać na możliwości, których urzeczywistnienie nie jest zbyt jeszcze dalekie, albo być może będzie wcale niemożliwe.

Na zakończenie tych uwag stwierdzić należy rzecz niewątpliwą, że w narodzie bułgarskim płynie krew słowiańska, której nie może być obca idea wspólnoty politycznej i cywilizacyjnej słowiańskiej. Ale Bułgarja, jak zapewne także inne narody słowiańskie, ma zbyt żywo jeszcze w pamięci spekulacje panslawistyczne n. p. Rosji, której nietyle chodziło o interesy całej słowiańszczyzny, co o własne ambicje i cele imperjalistyczne. Dlatego patrząc krytycznie na romantykę przeszłości panslawistycznej, mojem zdaniem, budować wielką wspólnotę słowiańską należy na mocnym fundamencie realnym: narazie politycznego i gospodarczego współdziałania. Na tej podstawie można będzie zbudować „tryumfalny pomnik przyszłości", który zastąpi tragiczny pomnik króla Władysława Warneńczyka nad Morzem Czarnem.

Jednakże musi być spełniony jeden warunek: Bułgarja, jak wszystkie inne narodowe państwa słowiańskie, musi powrócić do sprawiedliwych etnograficzno - historycznych granic. Wtedy można będzie mówić o wielkiej polityce słowiańskiej.

M. Konstantinow.

G. K. Chesterton
(1874 – 1936)

Dnia 14 czerwca umarł w Londynie Gilbert Keith Chesterton. W początkach swej karjery literackiej poświęcił się dziennikarstwu, gdzie okazał się, podczas wojny z Boerami znakomitym panfluecistą.

Chesterton zadebiutował w literaturze zbiorem wierszy, który sam ozdobił ilustracjami p. t. „Zabawy starców". Mimo, że zdobył sławę na polu powieściopisarstwa i nowelistyki, jednak chętnie wraca do poezji. Poemat, w którym opisuje bitwę nad Marną „Legenda św. Barbary" odniósł wielki sukces w Anglji.

Wartość jego wszystkich dzieł polega przedewszystkiem na poezji, która je ożywia i która jest cząstką wzniosłą w życiu ludzi. I nawet jego humor, tak specyficznie angielski, staje się ogólnoludzkim przez dobroć i miłosierdzie, które go uszlachetniają.

Podczas wojny Chesterton przeszedł na katolicyzm. Przez kilka lat redaguje zupełnie sam „pismo bojowe" "G. K's Weekly", gdzie walczył piórem przeciw swoim przeciwnikom, a po swojem nawróceniu przeciw przeciwnikom kościoła katolickiego, zwłaszcza przeciw Bernardowi Shaw. Chesterton sam przyznaje, że „część mojego życia przeszła na walce z Bernardem Shaw." Z G. K. Chestertonem znikła jedna z postaci najbardziej ciekawych w dzisiejszej literaturze europejskiej.

* * *

„W CHESTERTONIE LITERATURA EUROPEJSKA STRACIŁA JEDNĄ Z NAJCIEKAWSZYCH SWYCH FIZJOGNOMIJ."

Tak piszą ostatnie „Nouvelles Littéraires". I mają całkowitą słuszność. Śmierć autora „Człowieka wiecznego" wywołała głęboki żal w całym kulturalnym świecie. Nietylko dlatego, że umarł wybitny pisarz, który zyskał sobie szacunek i miłość swych licznych czytelników. Żal ten podważa świadomość, że umarł człowiek, który był nam potrzebny, w którym widzieliśmy swego obrońcę, przewodnika i wychowawcę. Teraz go nam nie stało. Pozostały jego dzieła. To prawda. Lecz jako pociecha, jako wspomnienie, jako testament. Straciliśmy zaś bezpowrotnie w nim współczynnik kultury, żywego człowieka kultury, funkcjonarjusza kultury. Indywidualność, która przedstawiała w sobie pewne cenne, a tak dzisiaj zagrożone w swym bycie wartości, była ich najlepszą, najskuteczniejszą i najzasłużeńszą awangardą i forpocztą. Strata jest niepowetowana.

Chesterton był wielkim artystą. Tego nikt nie zaprzeczy. Nikt też nie odważył się dzięki temu uderzyć w niego z taką zapalczywością, zjadliwą i wściekłą nienawiścią, jaką wielu żywiło wobec Chestertona za jego ideały, za jego prawdą i hasła, które przecież dzisiaj zwalcza się bezustannie, nienawiścią, którą jednak literacki, artystyczny autorytet Chestertona zniewalał do ukrywania się do utajenia się.

Bo Chesterton będąc artystą, był jednocześnie człowiekiem głęboko wierzącym. A dzisiaj przecież usiłuje się we wszelki możliwy sposób doprowadzić do uznania za pewnik bezwzględny antymonję między artystą a człowiekiem religijnym, między twórczością literacką a wiarą, by w ten sposób przyspieszyć negację religji. Dla tych ludzi, dla tego kierunku naszej kultury, niestety bordzo i coraz bardziej silnego, Chesterton był solą w oku, bo był żywem zaprzeczeniem ich sztucznych rozumowań.

Chesterton był największym, najbardziej płomiennym wyznawcą idei n a c j o n a l i s t y c z n e j, tak znienawidzonej dzisiaj, co wcale a wcale nie przeszkadzało temu, że był najwspanialszym, rasowym E u r o p e j c z y k i e m. A wielu jest takich, którzy usiłują dowodzić, że nacjonalizm równa się zaprzeczeniu kultury, zaprzeczeniu prawdy ludzkiej, równa się barbarzyństwu i dzikiemu egoizmowi? Rozważania Chestertona o nacjonalizmie są z tego względu nieocenione. Wartoby było uczynić z nich jeden ekstrakt, by stał się jako katechizm nacjonalistyczny, najbardziej popularny i wszędzie dostępny, dostępny zwłaszcza dla tych wszystkich mędrków i Europejczyków tuzinkowego pokroju, którzy przy lada okazji zachłystują się komunałami o kulturze, o międzynarodowym człowieku, o wspólnocie ludzkiej, podczas gdy nie potrafią wybąkać najpospolitszego abecadła kultury.

CIEPIEL
Mnie tylko chłopaka żal...

FELEK
Wiedział co robi i kogo bierze.

CIEPIEL
Jak? Jak?

FELEK
Niby że się nie obejdzie bez gruchu.

CIEPIEL
Na bruk go, panie dobrodzijku, wyrzuci...

FELEK
Kto ją tam wie...

CIEPIEL
Wyrzuci, panie dobrodzijku. Wyrzuci. Pan jej nie zna. To, że tak powiem...

FELEK
Chole...

CIEPIEL
Jak?

FELEK
No tak, jak pan majster chciał przed chwileczką niby ten.

CIEPIEL (biorąc Felka za guzik)
Słuchaj pan. Lampa jej obrzydła. Lustro jej obrzydło.

FELEK (wzruszając ramionami)
Wielkie rzeczy...

CIEPIEL
A wielkie, panie dobrodzijku. Bardzo wielkie! — (zniżając głos) Bo powiada, że ja jestem... tego... (wskazując miejsce, gdzie siedział Franek) a on...

FELEK (z nagłym niepokojem, widząc puste krzesło)
Ale gdzież on się podział?

CIEPIEL
Prawda. Drzwiami nie wyszedł. Chyba, że panie dobrodzijku, w sypialni.

FELEK (nadsłuchując)
Cicho!

(obaj nadsłuchują).

CIEPIEL
Coś jakby jakieś... że tak powiem, skrobanie...

FELEK
Cicho cicho! (po chwili) Franek! (po chwili) Franek! (po chwili ruszając w stronę sypialni) Cóż do djabła! (zagląda w głąb sypialni. Nagle rzucając się w prawo) Jezus Marja!!! Franek!!! (Słychać za szafami jakby szamotanie się z ciężarem).

CIEPIEL (przysiadając ze strachu)
Matka!! Matka!! (Rzucając się ku prawym drzwiom i borykając się z kluczem) Matka!! No Matka!!!
(Drzwi otwierają się z łomotem)

CIEPIELOWA
Co się stało!!!

CIEPIEL (bez głosu, na bawełnianych nogach)
Cicho, matka!... Cicho... On sobie... on sobie... (wskazując sypialnię) coś tam... zrobił!...

CIEPIELOWA (dygocąc ze strachu i garnąc się do Ciepiela)
Jezus Marja!!...

CIEPIEL (czepiając się Ciepielowej)
Cicho matka!... A ten drugi... ten drugi go... ratuje...

CIEPIELOWA
Jezus Marja.... (Nagle krótko i przeraźliwie) A!

(W wejściu do sypialni ukazał się Felek, niosący zupełnie bezwładnego, jakby martwego Franka, w którego toalecie brakuje krawatki, kołnierzyka i paska od spodni).

FELEK (bezpośrednio po krzyku Ciepielowej)
Nie drzyj się pani!

CIEPIEL (szczękając zębami)
Nie... bosz... czyk!...

FELEK (już koło fotelu)
Przecie dycha!

CIEPIEL I CIEPIELOWA (spleceni uściskiem przerażenia)
Święty Antoni, Cudotwórco...

FELEK (składając Franka na fotelu)
Pomaluśku, Franuś, pomaluśku. Głowę oprzyj o tak... nogi wyciągnij o tak.... i nic się nie turbuj....

FRANEK (z zamkniętemi oczyma zaczyna coś szeptać).

FELEK (pochylając się nad Frankiem)
Czego?

FRANEK (wyjmuje papierośnicę z kieszeni od spodni i po Felkowem „czego" podaje ją Felkowi, mówiąc coś szeptem).

FELEK (po chwili słuchania)
No przecie. Wszystko ci elegancko załatwię. Będziesz widział.

(Po chwili). Tak tak. Schowałem ją do kieszeni. Wiem, że złota. Wiem. Tylko nie gadaj, nie wstawaj, nie medytuj... (Do Ciepiela, ocierając sobie chustką do nosa twarz i szyję) Panie majster! Macie tam jaką wódkę, wino...

CIEPIEL (roztrzęsiony, ruszając ku jednej z szaf)
Jest... koniak.

FELEK
Niech będzie koniak. (Do Ciepielowej) A pani zimny okład.

CIEPIELOWA (rozdygotana nie ruszając się z miejsca)
Zimny... okład?...

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z młodej poezji

W czasie

Po kawałku zjadamy obie strony szosy:
zielone trójkąty tortowych pól.
Wiatraczki w kołach roweru!
strumyki chłodu we włosach!
w uszach pylno-słoneczny, pędem brzęczący ul.

Świstem odcinek koła
na linji nieomylnej,
na równowagę woła,
wahanie w bok rozpyla,
odrzucając po jednem białe pnie jabłonie;
— lecimy — deptać mokre blaski lasu,
w rozkosznej asymetrji pluszowych polanek
pić odpoczynek z pełnych pieszczot dłoni,
z ust na zieleni podanych —
— dopóki, jakieś minuty, wsiąkając w igliwie
słońcem, które wciąż niższe przelicza gałęzie,
nie zwilgotnieją cieniem.

NORA ODLANICKA-P.

Jezioro Snady

Tajemnicze, zastygłe w wiecznej zda się ciszy,
Rozciąga się jak chusta z drogocennej lamy,
Otulone prastarej puszczy ,ramionami
W złotorudym zachodzie mieni się i błyszczy.

W szuwarach, które sennie wiatr ciepły roztrąca
Od brzegów przeciwległych łódź płynie samotna,
Mącąc wodę wiosłami jak rybitwa lotna....
Słońce toczy się za nią jak kula płonąca.

Za chwilę zgaśnie, i mrok ciemny otuli świat cały
Na niebie zamigocą gwiazd srebrzystych krocie,
Wytoczy się z za lasu księżyc krągły w złocie
I długo w noc nad wodą żaby będą grały......

MARJA NATURSKA, Kraków.

Przegląd literacki i kulturalny

Pod znakiem cyrkla i kielni

Pod takim tytułem omawia konserwatywny „Czas" przemianę czasopisma wolnomyślicieli „Epoka" na dwutygodnik, pisząc m. in., co następuje:

„Odrodzenie „Epoki" w formie dwutygodnika, z nadzieją zamienienia na tygodnik, stanowi niewątpliwie ciekawą pozycję w publicystyce polskiej. „Wiadomości Literackie" powitały w niej pierwszą jawną publicystyczną ekspozyturę masonerji. Ujawnienie masonerji, tradycyjnie podziemnego związku, uważać należy stanowczo za moment dodatni. Polska dzisiejsza jest zanadto opleciona tajnemi związkami. Tradycje przedwojennych „Zetów", znalazły bujny grunt dla rozwoju w Niepodległej. To nie tylko stare przedwojenne konspiracje dożywają pogodnie swych dni, służąc dziś nietyle pracy politycznej, co zapewnianiu swym dostojniejszym członkom co lepszych synekur, co tłustszych państwowych prebend, wynajdując subwencje podatkowe na wegetujące pisma, lub, bez żenady, nieco grosiwa do ręki. Także w młodem pokoleniu krzewi się to bujnie. Ostatecznie i w akademickiem ZPMD działała od wewnątrz konspiracja i w „Legjonie Młodych" znalazła się niejaka „alfa" z p. Jehudą Sperberem na czele. Prawdopodobnie były tam jeszcze i dalsze litery masońskiego alfabetu, dalsze stopnie wtajemniczonych i zaprzysiężonych, kończąc na omedze, ostatecznie nawet dla młodzieży gimnazjalnej stworzono organizację o najśliczniejszych, konspiracyjnych szablonach. Zadużo jest tej tajności, zadużo tych „tajniaków" z powołania. Ujawnienie, choćby częściowe, masonerji, musimy przyjąć, jako niezawodnie pozytywną oznakę. Miłość do światła dziennego musi być nawet sympatyczna.

„Epoka" swym pierwszym numerem nie robi wielkich rewelacyj. Jest Wanda Melcer, jest Jampolski, przewodniczący chlubnego „kongresu pracowników kultury" ze Lwowa, Irena Krzywicka pisze o teatrze, Czesława Kamińska o maturze, jest prof. Kotarbiński. Jest czołobitne omówienie expose generała Sławoja - Składkowskiego: gdyby nie było podpisane inicjałami J. W., sądzilibyśmy, że to pisał inny kolega p. Jampolskiego, też bohater lwowskich wyczynów. Całe towarzystwo jest więc dobrze znane z „Wiadomości Literackich" i „Kurjera Porannego", ze sławienia wdzięków Wobicy i wołania o posterunkowych na wyższych uczelniach. Gdyby jeszcze „Epokę" ilustrowano fotografjami, przedstawiającemi całe towarzystwo w fartuszkach masońskich i z kielniami w ręku, przestępujących „ciało Hirama" i bawiących się z Okuliczem w „Gorliwego Litwina", byłby przynajmniej jakiś akcent bardziej nowy, bardziej własny, bardziej epokowy".

„France et sa mission"

Taki tytuł nosi nowa książka p. Edwarda Krakowskiego, który w ciągu ostatnich lat mniej więcej dziesięciu dał wiele książek filozoficznych, historycznych i krytycznych niepospolitej wartości. Przed rokiem dał Francuzom znakomite studjum o największych polskich poetach; niedawno wystąpił z jednotomową lapidarną historją Polski, teraz rozważa misję Francji w Europie i na świecie. Podtytuł tego tomu, wydanego w jednym z najpoważniejszych domów nakładowych, w „Mercure de France", brzmi „Essai de synthese historique par un etranger". Nasycona wielką erudycją, książka p. Krakowskiego posiada takie zalety stylu, że czyta się te trzysta stronic, jak najbardziej zaciekawiającą powieść.

ERRATA.

W artykule K. Orłowskiego p .t. „Narodowy rewizjonizm historji" mylnie wydrukowano podtytuł, który winien brzmieć: O K. M. Morawskiego „Źródle rozbioru Polski".

Adam Marcinkowski, Lublin

Historja i sąd

Nie od rzeczy jest w krótkim zarysie zestawić jedną z dziedzin pracy naszego sądownictwa, łączącą się żywo z historją kraju na przestrzeni wypadków ostatnich lat 150, a czasem i dalej wstecz.

Świadczy to bowiem o ciągłości dziejowej, nietylko dokumentalnej, ale żywej, niemal bezpośrednio nas dotykającej.

Powiedzieć na tem miejscu wypada o dziesiątkach procesów rewindykacyjnych, tkwiących swą genezą w dobie lat 1831 i 1863. Napływ tych spraw do sądów przerwała do pewnego stopnia ustawa o dobrach skonfiskowanych przez byłe rządy zaborcze uczestnikom walk o niepodległość z dnia 18 marca 1932, ograniczając liczbę zgłaszających się z pretensjami do linji prostej spadkobierców i kierując postępowanie do Ministerstwa Skarbu, a następnie dopiero, w razie nieuwzględnienia żądań, do sądu. Niewątpliwie przeoczeniu uległa sytuacja tych, których prawonadawcy walczyli przy boku Tadeusza Kościuszki w r. 1794 — to też procesy takie toczą się wyłącznie przed sądami, z uprzywilejowaniem linji bocznych, co obecnie nie może mieć miejsca w wypadkach poprzednich. Interesujący obrót przyjęły sprawy, wytoczone przez rzymsko-katolickie Kurje Biskupie w Łucku, Pińsku i Wilnie przeciwko odnośnym Konsystorzom Prawosławnym o zwrot kilkuset kościołów unickich, przekształconym na cerkwie prawosławne po zniesieniu Unji w r. 1839 na terytorjach b. cesarstwa rosyjskiego, a także kilkudziesięciu kościołów katolickich wraz z klasztorami, skonfiskowanych w różnych okresach czasu aż do roku 1867 włącznie.

Dla przerwania płynących przedawnień sprawy te przeszły przez trzy instancje w kwestjach incydentalnych (chodziło o przyznanie prawa ubogich Kurjom, jako odrębnym osobom prawnym, w omawianych procesach). Kilka tych spraw następnie skierowano na drogę merytorycznego rozpoznania.

Sądy zgodnie orzekły swą niewłaściwość, wskazując na tok postępowania administracyjnego, jako celowego w tym względzie do realizacji prac. Ponieważ instancje administracyjne orzekły również swą niewłaściwość, — sprawy powyższe zawisły jakby w próżni. Jest to typowy przypadek t. zw. sporu kompetencyjnego ujemnego — przewidzianego zresztą w art. 16 ustawy o Trybunale Kompetencyjnym (z dnia 25 listopada 1925 r.). Spodziewać się należy, że prędzej czy później Kurje Biskupie wytoczą ten ciekawy spór przed forum Trybunału.

Dla kronikarskiej wprost ścisłości nie można nie wspomnieć o znanym procesie rodzinnym Radziwiłłów, obfitującym w zawiłe i interesujące kwestje prawne, a opierającym się głównie na art. 78 III Statutu Litewskiego z r. 1588 i postanowieniach konstytucji sejmowej Illegitima Prole z r. 1768.*)

Najbardziej może nikłą jest ilość procesów, dotyczących b. dóbr Komisji Edukacyjnej. Wyłoniła się tutaj w pierwszym rzędzie kwestja, czy dobra te stały się własnością nabywców, czy też specyficzną postacią Emfiteuzy.

Genetycznie analizując te sprawy, ważną rzeczą jest stwierdzenie fakt, że papież Klemens XIV bullą z r. 1773 skasował zakon Jezuitów. Kwestją unormowania stosunków prawnych dóbr po nich pozostałych zajął się Sejm Rzeczypospolitej, obradujący w latach 1773—75, wydając Konstytucje: 1) Rozrządzenie dobrami jezuickiemi, i 2) rozrządzenie dóbr przeszło-jezuickich.

Obie te Konstytucje są identyczne co do treści i zgodne z tradycją (jedna dla Korony, a druga dla Litwy) i ówczesnemi normami ustawodawczemi biorącemi początek od aktu Unji Lubelskiej (z dnia 1-go lipca 1569 r.).

Na tle wskazanych Konstytucyj nie ulega wątpliwości charakter emfiteutyczny dóbr po-jezuickich. Później sytuacja rozwijała się następująco: Ukazy z okresu liberalnej ery Aleksandra I potwierdzają w całej rozciągłości Konstytucje z r. 1775.

Dopiero dodatek do Ukazu z r. 1871, w art. 5 i 6 — wkracza na drogę polityczną: dając możność Rosjanom, którzy uprzednio nabyli powyższe majątki — wykupić je na własność.

Art. 1. Rozporządzenia Komisarza Generalnego Ziem Wschodnich z 15 maja 1919 r. zniósł moc prawną tych dwóch wyżej wymienionych artykułów. Z tą chwilą zatem prawo zawarte w Konstytucjach r. 1775 — odżyło w całej pełni i żyje do chwili obecnej (orzeczenie Sądu Najwyższego z 1—8 maja 1934 r.).

Przytoczone fragmenty nie wyczerpują listy tego rodzaju procesów — wskazują natomiast dobitnie, że sądy nasze raz poraz muszą ocierać się w swem orzecznictwie o ojczystą przeszłość historyczną, utrzymując więź pomiędzy dawną a nową Rzeczypospolitą.

Więź ta budzi zapomniane czasy, ożywia zapleśniałe akta i dokumenty, by dała wspólnie świadectwo prawdzie — zasadzie nieprzerwanego historycznego bytu państwa polskiego.

*) Proces ten jeszcze nieukończony — wszedł pod rozpoznanie Sądu Najwyższego wraz ze skargami kasacyjnemi powodów.

Kulisy i przyczyny ustawicznego antagonizmu pomiędzy konserwą „sanacyjną", a min. Kwiatkowskim są nam nieznane. Sądziliśmy jednak, że są natury głębszej, niż ta, na którą wskazał min. Skarbu. Jeśli jednak tak jest w istocie, to byłby to rzeczywiście skandal w „rodzinie", o dziwnych obyczajach.

Incydent ten przypomina żywcem niedawne zapasy w meczu: komisarz m. Warszawy Starzyński i „Czas".

Gloryfikacja Częstochowy

Artykuł-reportaż Ksawerego Pruszyńskiego z historycznych uroczystości częstochowskich, umieszczony niedawno w „Wiadomościach Literackich", zrobił niespodziankę. Gdyby się ten artykuł brało jedynie tylko za dokument publicystyczny potęgi ruchu młodonarodowego, wyznawców Szczerbca, to dalibóg nie potrzebaż wspanialszego, świetniejszego, bardziej przekonywującego od niego dokumentu. Artykuł Pruszyńskiego budził dużą sympatję, nic dziwnego, przecież (mimo wielu zastrzeżeń) dawał świadectwo prawdzie! Prawdzie, którą wszyscy czują, choć niezawsze zdają sobie z niej w pełni sprawę. Takich artykułów więcej, ale lepiej nie w „Wiadomościach Literackich", którym się tylko ułatwia dezorjentowanie opinji, o objektywiźmie tego bolszewizującego pisma.

Więzień, a praca

Notorycznie jest znaną sprawa przepełnienia naszych więzień, których pojemność niejednokrotnie została przekroczona. Przed ogłoszeniem ustawy amnestyjnej z dnia 2 stycznia 1936 r. liczbę więźniów w Polsce szacowano na 55 000 osób. Obecnie cyfra ta uległa niewątpliwie znacznej redukcji. Ale nie o to chodzi. W dyskusji nad budżetem Ministerstwa Sprawiedliwości podniesiono między innemi, że z pośród wskazanej wyżej liczby więźniów tylko około 9 000 ludzi było zatrudnionych przy różnych pracach, reszta odbywała swą karę pozbawienia wolności całkowicie bezczynnie. Przypuśćmy, że w tej chwili więźniów jest tylko 35 000 (po zwolnieniu amnestjowanych) i że z tej liczby 10 000 ludzi nie nadaje się wogóle do jakichkolwiek prac poza więzieniem, czy ze względu na wysokość kary odsiadywanej, czy ze względów politycznych (komuniści) — to jednak pozostaje niewątpliwie około 25 000 osób, które bez żadnych zasadnych przeszkód, za te same pieniądze publiczne i pod tym samym dozorem — mogą być użyteczne, jako korpus pracy do robót publicznych. Oczywiście nie wskazanym jest skupiać tę liczbę w jednym miejscu (wzgląd na bezpieczeństwo powszechne i politykę kryminalną). To jednak oddanie więźniów do prac w miastach (naprawa nawierzchni ulic, budowa boisk, wałowania itd.) byłoby ze wszechmiar pożądanem, szczególnie, gdy się weźmie jeszcze pod uwagę potrzeby miast naszych i ich niskie możliwości finansowania robót. Obecnie dzieje się inaczej t. z. więzień w olbrzymiej większości nic nie robi. I dlatego uciera się w społeczeństwie złowieszcze moralnie zdanie: w więzieniu jest dobrze, bo nie pracując — ma się dach nad głową i utrzymanie. Co prędzej więźniów trzeba skierować do pracy! Wszystkie możliwości trzeba upłynnić celem podniesienia kraju! (m)

Pod światło...

Alarm i ofensywa

P. Stanisław Piasecki, na łamach „Prosto z Mostu" w artykule „Front sowiecki i front polski" omawiając ostatni zjazd „kulturalny" we Lwowie daje ogólny obraz tego co dziś można w Polsce nazwać „frontem sowieckim". Autor wyraża pogląd, że siły „frontu sowieckiego" nie należy wyolbrzymiać, że istnieje przecież stokroć silniejszy „front polski". Stanowisko to wyraźnie zostało sprecyzowane zarówno przez ostatni komunikat władz naczelnych Stronnictwa, jak też przez całą prasę narodową. Zatem jesteśmy w sprawie ofensywy wszechstronnej, ofensywy narodowej zgodni.

Nie możemy atoli podzielić stanowiska niedoceniającego znaczenia „frontu sowieckiego". Sądzimy, że autor zgodzi się z nami, że przesada w alarmie nie jest szkodliwa. Chodzi tylko o to, żeby przez alarm nie tracić pewności i wiary, a budzić pełną gotowość bojową i ducha twórczej i miażdżącej przeciwnika ofensywy.

Powódź frontów!

Istna powódź frontów... Do tych, które się dotąd ukazały na widowni politycznej bądź w postaci siły realnej, bądź frazesu, a więc „frontu ludowego", lub „czerwonego", „frontu narodowego" lub „faszystowskiego", t. zw. „frontu do szarego człowieka" oraz „frontu Morges" doszedł ostatnio jeszcze jeden — „czarny front". O tym czarnym froncie czyli katolickim pisze w „Kulturze" p. E. Januszkiewicz, który pragnie go przeciwstawić czerwonemu frontowi kulturalnemu z pod znaku lwowskiego kon-gresu t. zw. „Pracowników Kultury". O ile nie zgadzaliśmy się z p. Januszkiewiczem, chodzącym po „lewej stronie szosy", o tyle myśl jego artykułu „Czerwony i czarny front" jest słuszna. Z pewnym atoli zastrzeżeniem. Frontowi czerwonemu, o zabarwieniu i tendencjach per exellence politycznych chce autor przeciwstawić pozytywnie front „czarny" — katolicki, odżegnujący się ustawicznie od politycznego „angażowania się" na rzecz grup narodowych, myśląc o powszechności przedewszystkiem.

Pytanie czy takie przeciwstawienie się chociażby najbardziej pozytywne, ale oderwane od rzeczywistości kultury narodowj, której pierwiastek katolicki jest mimo wszystko tylko częścią a nie całością, może być skuteczną bronią przeciwko frontowi czerwonemu?

Druga wątpliwość. Podstawą ewentualnego organizowania kulturalnego frontu katolickiego byłby światopogląd katolicki. Zgoda. Nacjonaliści polscy reprezentują światopogląd katolicki, tymczasem ci z Polaków, którzy są najpierw katolikami, a potem Polakami, a tacy są, nie zawsze, a prawie z reguły ustosunkują się do nacjonalizmu negatywnie. Ktoś powie, że wszczynamy zaściankowy spór wtedy, gdy „lasy płoną". Trzeba, żeby nas zrozumiano należycie. Stanowisko nasze streszcza się w tezie: Katolicki front musi być równocześnie zdecydowanie nacjonalistyczny, jeżeli ma zwyciężyć. Taka synteza jest nietylko możliwa, ale i konieczna. Wyrazem jej jest front narodowy.

O co spór się toczy?

Ostatnie posiedzenie Senatu w sesji nadzwyczajnej było widownią niecodziennego, oczywiście coram publico, sporu a raczej incydentu pomiędzy reprezentantami grupy konserwatywnej sen. Jareckim i Radziwiłłem z jednej, a premjerem Składkowskim i min. Kwiatkowskim z drugiej strony. Pierwsza dwójka zadawała pytania „na wyrywkę", stawiając na cenzurowanem program gospodarczy rządu, a właściwie min. Kwiatkowskiego, druga dwójka odpowiedziała raz, dwa, a wreszcie zbuntowała się... premjer Składkowski uderzył pięścią w pulpit i zawołał: — „czy pan Jarecki długo takie defetystyczne pytania ma zamiar stawiać w kwestji sytuacji państwa? Wstyd!" W rezultacie sen. Jarecki mowy swej nie skończył...

Min. Kwiatkowski nie pozostał w tyle za p. generałem i oświadczył, że „nie może od każdego z panów przyjmować nauk", a następnie zaatakował konserwę w następujący sposób: „Najostrzej atakują mnie pisma konserwatywne „Czas" i pokrewne. „Czas" nie płaci nietylko podatku dochodowego, ale i podatku od uposażeń pracowników. To jest kradzież. Zapowiedziałem, że podatek ten będzie musiał być zapłacony i wówczas zaczęła się akcja".

(Dokończenie ze str. 1-szej)

Psychoanaliza jest religją łatwości, prymitywizmu i wygodnictwa. Okazało się, że t. zw. „głębia", t. zw. „mroki duszy" itd. nie są znowu czemś tak wzniosłem, skoro one są siedliskiem dwóch czy trzech zasadniczych instynktów, które rządzą człowiekiem — i to wszystko. Definicja człowieka mieści nauka. Lecz „s'tulti sunt quopue beati!"

Psychoanaliza ma wszelkie cechy metody błędnego koła. Czego się nie da podświadomością wytłumaczyć? Gdyby fakty i przeżycia świadomości nie dawały jej żeru, że tak się wyrażę, nie byłoby podświadomości. Niewiadomą świadomości tłumaczą przez niewiadomą podświadomości, o której prawach znowu dowiadują za pośrednictwem świadomości — i tak wkółko.

Psychoanaliza jest nauką bardzo zwodniczą i zarozumiałą. Wszędzie usiłuje wkroczyć i wszystko ujawnić. I w tem leży główne jej niebezpieczeństwo. Może ona doprowadzić do spłycenia człowieka i kultury, do zubożenia jej, do jej zniszczenia.

Psychoanaliza jest wtedy pożyteczna, gdy nie wychodzi poza granice tego, gdzie powstała, poza leczenie kliniczne. W innych dziedzinach można się nią posługiwać jako metodą heurystyczną. Naprowadza nieraz na dobrą drogę władze poznawcze, jest bodźcem twórczym. Ale trzeba posługiwać się nią bardzo a bardzo ostrożnie, delikatnie, subtelnie, zręcznie.

Tak więc ostatecznie Freud ma bezwzględne znaczenie dla nauki, jako dyscypliny poznawczej. Kulturę jednak ludzką postawił przed obliczem dużego niebezpieczeństwa. Nie trzeba zapominać, że te same wpływy, które powstały w atmosferze Freudyzmu lub w atmosferze mu pokrewnej, działają dzisiaj, i to ze wzmożoną potęgą. My je na sobie zbyt boleśnie odczuwamy, by nie uświadomić sobie grozy położenia, w jakiem znajduje się nasza epoka.

Czy zdobędzie się ona jeszcze na takie wartości, takie zasługi, by... uniknąć miana epoki Freuda?

Adres Redakcji: Poznań, św. Marcin 65. — Telefon 59-97. Konto P. K. O. 201 410. Adres Administracji: Poznań, św. Marcin 65. — Telefon 59-97.
PRZEDPŁATA (wraz z przesyłką): miesięcznie 0,70 zł, kwartalnie 2,— zł, półrocznie 4,— zł, rocznie 8,— zł.
CENY OGŁOSZEŃ: cała strona — 240 zł, ½ strony — 130 zł, ⅓ strony — 90 zł, ¼ strony — 70 zł, ⅛ strony — 40, zł, 1/10 strony — 30 zł.
Przedstawiciel redakcji w Łodzi — Konstanty Dobrzyński (Piotrkowska 91), we Lwowie — Aleksander Kośmiński (św. Zofji 50), w Krakowie — Jan Bielatowicz (Uniw., Coll. Novum), w Wilnie — Stefan Łochtin.
Rękopisów nie zwraca się. Rękopisów nie zwraca się.
Redaktor naczelny i wydawca: Jan Wyganowski. Red. odpowiedzialny: Władysław M a c i ą g, Poznań.
Czcionkami Drukarni Wydawniczej Fr. Krajna Spółka z o. o. Poznań, ulica Strzałowa 2 a.